

MOJE WOŁYŃSKIE DZIECIŃSTWO

Wstęp

Protoplastą rodziny ze strony mamy był mój dziadek MARCIN SYGA, Pan na włościach koło Garwolina.

Jego bogactwem było potomstwo: miał trzy żony, które urodziły mu jedenaścioro dzieci: pierwsza – sześcioro, druga – jedynaka, a trzecia moja babcia Ludwika (sam „babiniec”) - cztery córki.

Mama urodzona w 1907 roku, była ostatnią latoroślą Sygów. Dziadek Marcin żył i umarł w czasie zaboru rosyjskiego w latach 1832-1917.

Dziadkowie ze strony ojca: Teodor wraz z małżonką Marią z domu Kucharską i trójką dzieci: Zdzisławą, Zenonem i Włodzimierą. Mieszkali w Poznaniu w zaborze niemieckim.

W 1914 roku zostali deportowani do Berlina. Uczęszczali tam do szkoły (pod przymusem). Tata opanował bardzo dobrze język niemiecki, co w przyszłości pomogło nam przetrwać okupację hitlerowską.



Zenon Komorski



Helena Komorska



Zbigniew Komorski

Po odzyskaniu niepodległości, Polsce przywrócono tereny stracone w czasie rozbiorów przez ciemieżców. Wróciły do macierzy tereny Kresów Wschodnich łącznie z Wołyniem i wojewódzkim miastem Łuck. Nastąpił czas migracji ludności z Polski centralnej (i nie tylko), na Kresy.

Było duże zapotrzebowanie rąk do pracy w każdej dziedzinie gospodarki. Czas i eksploatacja okupantów zrobiło swoje; zrujnowano co było dobre i wartościowe. Ruch przesiedleńczy nie ominął naszej rodziny (Sygów).

Przysłowie mówi: do odważnych świat należy.

Ciocia Franciszka z mężem Hieronimem Dąbkowskim, marynarzem floty śródłądowej armii carskiej, z czwórką dzieci szukając swojego miejsca na tym padole, przez „Zakaukazie” dotarła na Wołyń do Łucka.

Wybudowali domek mały ciasny, ale własny, na wzgórku przy ul. Rogowej 13, w dzielnicy Łucka -Krasne.

Wychowywali swoje dzieci i dwoje sierot siostry Anny Łysakowskiej z domu Syga.



Hieronim i Franciszka Dąbkowscy



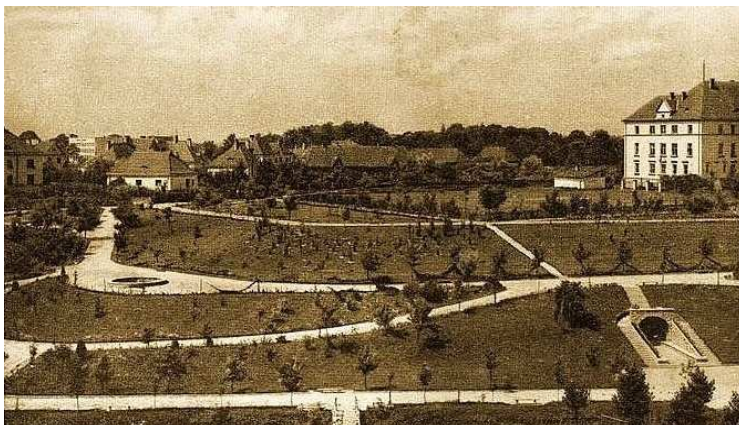
Jadwiga i Czesław Dąbkowscy

Za przykładem cioci Frani poszło rodzeństwo: wuj Jan i moja mama, najmłodsza latorośl Marcina, pozostawili rodzinne gniazdo i w roku 1930 wyjechali do Łucka.

. Mama przyjęła opiekę nad rodziną państwa Strumieńskich zamieszkujących na Kolonii Urzędniczej.



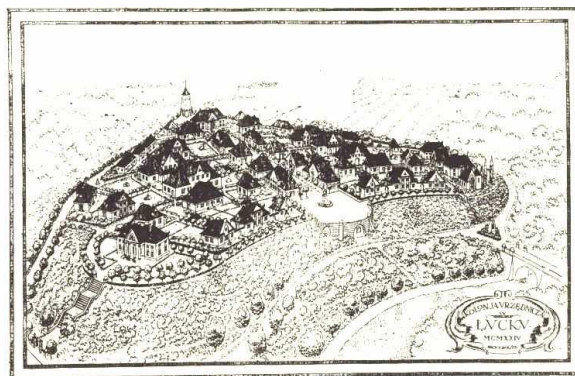
Rodzina państwa Strumieńskich



Widok na Kolonię Urzędniczą

Tata po powrocie z Berlina praktykował w majątku Tytusa Działyńskiego w Kórniku koło Poznania. Następnie odbył dwa lata praktyki w banku poznańskim, jednak nie odpowiadała mu ta praca. Wybrał Wołyń na Kresach Wschodnich. Sześć lat służył w K.O.P.-ie, (Korpus Ochrony Pogranicza) jako ochotnik

Po zakończeniu służby pozostał na Kresach, pracując w specjalności wodno-kanalizacyjnej przy realizacji ówczesnej miejskiej inwestycji, Kolonii Urzędniczej w Łucku.



Arch. ogóln. Towar. Budowl. i inż. 1930. Józef Krzyżak Wzrost gospodarczy Kolonii urzędniczej w Łucku

Makieta Kolonii Urzędniczej

Sedno sprawy

Właśnie tu, w Łucku na Kolonii Urzędniczej, rodzice poznają się i zawierają związek małżeński.

Owoce tego stała się pięcioro rodzeństwa, z których troje urodziło się na Kresach. Są to: Zbigniew (ur.04.04.1932r), siostra Barbara (ur. 09.10.1934r) i najmłodszy kresowiak z naszej rodziny Roman, urodzony 05.05.1942 r. za okupacji niemieckiej.



Zbigniew z rodzicami i znajomi



Trzy gracje



Siostra Barbara

Tata objął w konserwację stację pomp zasilającą w wodę całą Kolonię Urzędniczą. Budynek zlokalizowany był przy ul. Stanisława Wyspiańskiego, róg ul. Powstania Listopadowego.

Budynek miał pomieszczenia techniczne i część mieszkalną dla osoby nadzorującej pracę instalacji przez 24 godz./dobę pomimo zastosowanej automatyki.

Część techniczna była na dwóch poziomach:

1. parter, zajmowały urządzenia oczyszczające, filtrujące, uzdatniające i pojemniki magazynujące wodę, oraz dwa silniki pompujące wodę do budynków,
2. Pod budynkiem na głębokości 4 m. w komorze były umiejscowione dwa silniki podające wodę do zasobników na górę.



Zbyszek Komorski



Mistrz i pomocnik

Kolonia Urzędnicza miała także zasilanie z wodociągu miejskiego.

Moje dzieciństwo

Codziennie stawałem się starszy i ciekawszy tego wszystkiego co koło mnie się dzieje, a w szczególności wyposażenia automatyki. Mistrz i pomocnik wchodzili do pomieszczenia razem, ze względu na moje zainteresowanie sterownikami. Przrzekliśmy sobie, że ja nie będę ruszał urządzeń, a tata pozwoli mi włączyć agregat; oczywiście w jego asyście.

Z dnia na dzień poznawałem okolice domu, a wkrótce również terytorium mojego osiedla – Kolonii Urzędniczej, ograniczonej ulicami: z północy Pułaskiego i cmentarzem katolickim, ze wschodu Powstania Listopadowego. Ulica ta od St. Wyspiańskiego prowadziła dalej łukiem poza kolonią, aż do połączenia się z Szopena i Gimnazjalną.

A w dole płynęła ze wschodu na zachód z pół wioski Teremne, zwijająca się jak wąż, rzeczka Sapałajówka, kończąc swój bieg w nurtach rzeki Styr.

Później poznawałem coraz dalej położone zakątki kolonii i okolice: park miejski w kierunku kolonii oficerskiej, ogród - park osiedlowy przy ul. Minkiewicza. Było to miejsce wypoczynku i rozrywki. Rozgrywano tu amatorsko siatkówkę, tenis, uprawiano gimnastykę. Latem były tu półkolonie dla dzieci i odbywały się zawody sportowe.

Na okres zimy szykowaliśmy lodowisko. Tata przygotowywał plac, następnie w mroźny dzionek wylewaliśmy z ojcem masę wody i czekaliśmy na zamrożenie.

Ile to było uciechy i zabawy. Na Boże Narodzenie była pięknie ubrana i oświetlona choinka, oczywiście ze św. Mikołajem.

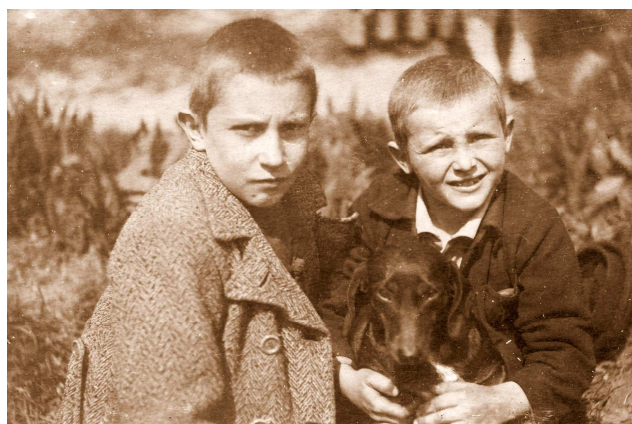
Bawiliśmy się wraz z rówieśnikami, a był ich sporo.

Przytoczę tylko tych, których pamiętam z nazwiska, a mianowicie:

- Jerzy i Henryk Habichowie, (ojciec ich dr. Witold Habich był Prezesem Komitetu Wyborczego Federacji Łuck październik 1930r.),
- Jerzy Lewandowski,
- Ryszard Gonczar,
- Zygmunt Borkowski



Dzokejek na kucyku



Heniek, Zbyszek i jamniczka „Mucha”



Rodzina p. Gonczarów

Przewodnikiem i szefem naszej „paczki” był najstarszy z nas Jerzy, w przyszłości major WP.

Organizowaliśmy różne zawody jak: biegi na orientację, sprinty i zawody strzeleckie do celu z „procy”. Naboje leżały na ulicy (tłuczeń granitowy).

Poza cmentarzem, przy ul. 24 pułku znajdował się stadion sportowy i lotnisko. Mogliśmy tam obejrzyć nasze siły powietrzne. Za stadionem koszary wojskowe.



Kaplica z dzwonnica i wejście na cmentarz katolicki w Łucku



Stadion sportowy w Łucku; w głębi koszary 24 p.p.

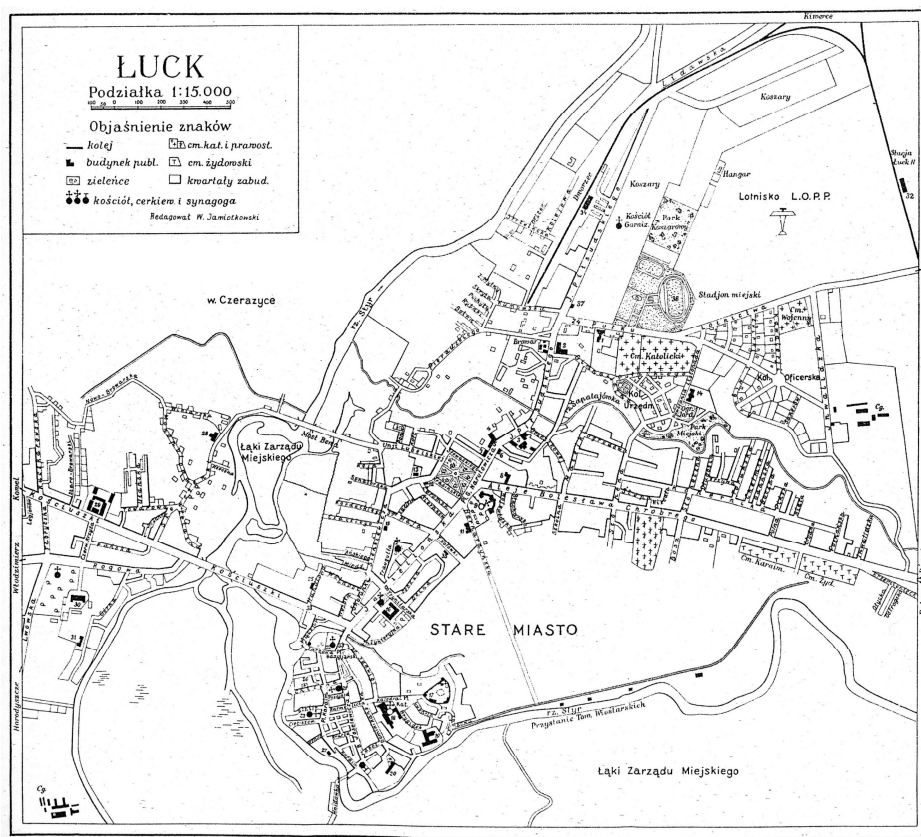


Lotnisko w Łucku

Na stadion chodziłem z rodzicami: ja i mama w charakterze kibiców, tata jako zawodnik drużyny piłkarskiej. Byłem bardzo zdziwiony, gdy pierwszy raz zobaczyłem na boisku aż 22 – przepraszam: 23 panów, w tym sędziego w krótkich spodenkach, z numerami na koszulkach i wszyscy biegali za jedną piłką, która musiała być strasznie zmęczona tym kopaniem. Po meczu tata wyjaśnił mi reguły: pan z gwizdkiem (zwany „kalosz” przez zawodników i kibiców), był rozjemcą przy różnego rodzaju spięciach i faulach. Nie wiem jaka to była drużyna. Wydaje mi się, że to był klub rezerwistów K.O.P.-u. Pamiętam, że grali z drużyną żydowską o nazwie „HASMONEA”.

Świętowanie

W niedziele chodziliśmy z rodzicami do Katedry św. Piotra i Pawła na ulicy Katedralnej, spacerkiem przez ulice Szopena, Bolesława Chrobrego, Narutowicza, Jagiellońską, Królowej Jadwigi.



Plan miasta Łucka



Idziemy do katedry



ul. Bolesława Chrobrego



ul. Pierackiego

Za Katedrą znajdował się Plac Zamkowy, z którego wchodziło się przez bramę w baszcie do wiekowego zamku LUBARTA .

Wizyty u Kuzynów

Z Katedry blisko było na Krasne (dzielnica Łucka). Idziemy do naszych kuzynów. Przy ulicy Rogowej 13, mieszkała ciocia Franciszka z mężem Hieronimem Dąbkowskim i dziećmi:

- Mieczysławem - uczył się księgowości,
- Hanna – pielęgniarstwo,
- Oleńka - szkoła ogólna,
- Czesław - szkolił się na leśniczego,
- Maria Łysakowska - pobierała nauki w szkole handlowej
- Ryszard - terminował w drukarni.

Marią i Rysiem, ciocia opiekowała się po zgonie swojej siostry, a ich mamy. Jak na taki mały domek, gromadka duża. Stało to zabudowanie na wzniesieniu Od strony południowej teren obniżał się do poziomu około metra ponad wody rzeki Styr. Teren zalewowy, łąki - w okresach wiosenno-jesiennych pokryte wodą. Pływało się kajakami jak po jeziorze.

Brałem w tym udział, a także łowiłem ryby trzymając się wędk. Sprzęt wykonany był we własnym zakresie przez dwóch młodych ludzi: Mieczysława i Czesława Dąbkowskich.

Panny przygotowywały wyśmienite strawy i prowiant na wycieczki lądowe lub wodne wspólnie organizowane z pożytkiem dla zdrowia. Czas mijał w serdecznej i miłej, rodzinnej atmosferze. Podziwialiśmy ich zaangażowanie w sprawy rodzinne. Służyli kuzynom i sąsiadom zawsze pomocą. Lubiłem przebywać z wujkiem Hieronimem. Zabierał mnie na spacer na ulicę Kowelską. Siadaliśmy przy rowie melioracyjnym, a on snuł swoje opowiadania o marynarskim trudzie i przygodach na statkach i na łądzie. Miał we mnie pilnego słuchacza.

Rozrywki

Zawsze ciągnęło mnie na Rogową. Miasto wojewódzkie miało swoje rozrywki. Najbardziej pamiętam kino „Słońce”, a w nim film pod tytułem „KING—KONG” o wielkiej małpie-Gorylu.

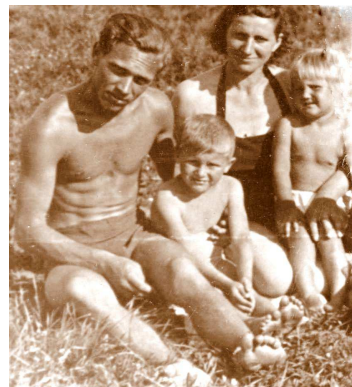
Wszystko było dobrze i pięknie, dopóki małpa nie ruszyła w moim kierunku, prosto na Mnie. Wystraszony okropnie schowałem się za tatę. A on mi wytłumaczył, że żadnym wypadku małpa nie wyjdzie z tej ściany.

Zaliczyłem, jak obecnie mówią młodzi, cyrk „STANIEWSKICH”. To była zabawa; duże i małe zwierzęta: król zwierząt - lew, lamy, żyrafy, pieski, króliki - dla nas był to wspaniały spektakl.

Najwięcej radości mieliśmy z tych śmiesznych panów dziwnie ubranych z okrągłymi czerwonymi nosami, no i tych co robili różne sztuczki na koniach i w powietrzu na drążkach i linach. To było niezapomniane przeżycie dla nas maluchów. Po zakończeniu poszliśmy obejrzeć pozostałe zwierzęta w klatkach.



Rodzina i znajomi nad „Styrem”

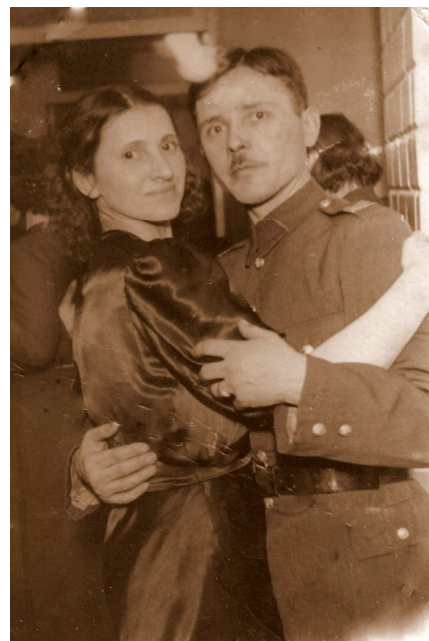


Mama z dziećmi i chrzestnym o nazwisku Lachman

Mieszkaliśmy w pobliżu rzeki Styr – kąpaliśmy się na dzikiej plaży, tzw. BABSKIM KOLANIE – pływaczka między mostami. Można było chlapać się bez obaw.



Bal maskowy (Tata – Żyd, Mama – Diabeł)



Rodzice na zabawie w KOP-ie

Na kolonii urządzano nam zabawy i przedstawienia, natomiast rodzice mieli swoje zabawy i bale maskowe w klubie rezerwistów. Na drugi dzień ja z siostrą ubieraliśmy się w kostiumy; siostra w kostium mamy - diabła, a ja w kostium taty – żyda. Babcia uciekała z domu, widząc takie stwory.



*Spotkanie choinkowe przedszkolaków – pół kolonistów
(w górnym lewym rogu stoją: 1- Zbigniew, 2-Zenon, 3-Helena, Komorscy*

Tata nie tylko grał w futbol, ale pływał i jeździł na nartach. W zimie, na wysokich wiklinowych sankach, pomiędzy nartami taty, zjeżdżaliśmy z górki pokonując pagórki parku miejskiego.

Były też spacerowy Łucka - ulicy Jagiellońskiej, wyprawy na trójkołowcu - rowerze do parku Pierackiego i w okolice Alei B. Chrobrego.



Zbyszek z chrzestną Hanią



Mama z Basią



Mama ze Zbyszkiem



Mama z pierworodnym



Rodzice i ich znajomy

Koniec szczęśliwego dzieciństwa

Zbliżał się wrzesień roku 1939, miałem rozpocząć naukę. Rodzice kupili mi całą wyprawę łącznie z pięknym skórzanym tornistrem.

Czekałem!

Skończyło się szczęśliwe dzieciństwo, postawieni zostaliśmy pod ścianą; co za nią - jedynie Bóg wie.

W mieście pokazało się dużo chromych, kalekich, biednie ubranych, proszących o datki- jałmużnę.

Chodziły wieści że to szpiedzy. Miasto zapełniło się uciekinierami z Polski Centralnej. Podążali na wschód w kierunku na Zaleszczyki i na Rumunię.

Jak daleko zaszli? Nie wiedzieli, że idą prosto w paszczę niedźwiedzia. Że to sąsiedzi, Słowianie wbili nam bagnet w plecy, a oni pojedą bydlęcymi wagonami na „Sybir”.

Uciekali przed germanami, a trafili na moskali, którzy byli lepsi?

My to przeżyliśmy i wiemy !

Rozpoczęte bombardowanie nasilało się. Mieszkańcy Kolonii Urzędniczej opuszczali swoje domostwa.

Tatę zmobilizowano do straży (znał niemiecki), w celu odstawienia osadników niemieckich na granicę.

Mama postanowiła, że opuścimy miasto. Byłem najstarszym i jedynym członkiem rodziny, rodzaju męskiego miałem 7 lat. Z babcią, mamą i siostrą Barbarą, objuczeni tobołkami z najpotrzebniejszymi rzeczami (jak nam się zdawało), ewakuowaliśmy się na wieś, do pani mleczarki.

Przeprawa przez Styr i kierunek Hnidawa. Szliśmy w nieznane. W pierwszej Wiosce napotkaliśmy dowódcę jednostki przeciwlotniczej, który nakazał iść dalej. W wiosce tej pozostali tylko gospodarze dozoru swego inwentarza, a my powinniśmy się kryć przed lotnikami, ponieważ strzelają do pojedynczych osób, oraz nie ruszać znalezionych piór, obsadek, zabawek, gdyż grozi to wybuchem.

Poszliśmy dalej szukając przytuliska. Trafiliśmy na dobrych ludzi osadników czeskich, którzy ofiarowali nam wikt i poduszkę. Zmęczeni i głodni padliśmy na posłania i zasnęliśmy na kilka godzin. Gdy obudziliśmy się, dzieci gospodarzy zabrały nas do sadu na jabłka i gruszki, a później zabawa do zmięzchu. Po trzech dniach mama poszła do miasta, aby zostawić wiadomość ojcu i zabrać suczkę jamniczkę wraz z trójką szczeniąt.

Naloty były coraz mniej dokuczliwe. Mogliśmy spokojnie bawić się z rówieśnikami w pełnym słońcu.

Po dekadzie wróciliśmy do miasta. W domu zastaliśmy tatę, który powrócił i krzątał się przy uruchamianiu stacji pomp która z braku nadzoru była wyłączona.

Życie pod okupacją sowiecką

No i stało się.

Pięknego wrześniowego 17-go dnia miesiąca, zawitali na nasze ziemie „przyjaciele zaborcy”- sowieci. Ten sam agresor, który okupywał, ciemnizył i męczył polski naród przez wieki.

Ledwie armia czerwona przy pomocy zdrajców zdążyła pozajmować budynki użyteczności publicznej, przybyły rodziny krasnoarmiejców przywiezione wojskowymi samochodami. Nazywaliśmy je – „gruzawikami”. Nie wiem dlaczego.

Wszystkie pustostany zostały zajęte przez zwycięzców. Część mieszkańców wyjechała na stałe, inni nie zdążyli powrócić Największy budynek - blok o kilku piętrach i klatkach schodowych, zasiedlony został przez wojskowych z rodzinami. Obiekty te były w administracji wojskowej z zadaniem pełnienia nadzoru nad urządzeniami wodno-kanalizacyjnymi, elektro-budowlano-ślusarskimi, łącznie ze stacją pomp.

Tata pozostał na konserwacji całości obiektów. Miał kilku osobową brygadę z młodym Żydkiem w celu nauki zawodu. Tak głosiła oficjalna wersja; nie wiadomo czy była to wtyczka, czy kapo?

W bloku zasiedlonym przez społeczność wojskową mieszkali ludzie z różnych republik, którzy tu zapoznawali się z takimi urządzeniami technicznymi jak: wanny, muszle klozetowe i bidety. Przepusty tych urządzeń miały ograniczoną średnicę.

Mycie głowy w bidecie i wrzucanie różnych odpadków do klozetu, powodowało zapychanie odbiorników, a w konsekwencji wylewanie nieczystości (kloaki) na nawet wyższych piętrach.

Majstrem w tym kołchozie był stary „iwrej”, uprzedzony do Polaków, który chciał szybko awansować. Straszyl tą: „do MAŃKAWUD” cię podam; podam cię do „MAŃKAWUDE” ! (NKWD).

Tata zorganizował spotkanie z lokatorami na okoliczność instruktażu właściwego użytkowania odbiorników, za wiedzą i zgodą naczelnika administracji. Poprawiło to trochę sytuację, a „iwrej” dalej straszyl NKWD. Doszło między nimi do scysji w biurze. Jego zachowanie było głośne i agresywne –władcze. Pracownicy biura, Rosjanki poradziły ojcu aby udał się do naczelnika I tak zrobił. Opowiedział całe zdarzenie i o groźbach donosów. Szef mu odpowiedział: „u ciebia załatyje ruki”, a on nic nie potrafi, tylko donosić.

Tata w ramach obowiązków służbowych, robił prominentom różne usługi, łącznie z montażem kinkietów.

Przyszedł „Iwrej” do ojca i powiedział: „tawariszcz Komorski, eto były sztuki”(żarty). Ładne żarty - to było ostrzeżenie dla nas - siedzieliśmy jak na wulkanie.

Заявления до заповнення картки

1. Картку заповнює класний керівник.
2. Наприкінці кожної чверті класний керівник видає картку успішності учнєві, учнє повертає її класному керівникові з підписом батьків у перший день наступної чверті навчального року. Картку зберігається в школі.
3. Успішність відмічається відмітками: відмінно, добре, посередньо, погано, дуже погано.
4. В кінці навчального року картка з відповідним записом та з підписом директора школи видається учнєві.

Народний Комісаріат Освіти УРСР

КАРТКА
про успішність, поведінку
та відбудовання

УЧНІЙ Т. Г. класу за 1939-40 навч. рік

Учнєвий Земон

Земон (ім'я та по батькові)

Немолно-Сенюга (позачок, новона окрема, окрема) школа

№ 7

місто, село Луцьк

район Луцьк

область Луцьк

Учнєві повертає картку у перший день наступної чверті навчального року

Державне Видавництво Шкільної Книжки у Львові.
Рух. № 17. Ст. Галицького № 45.
Друк. Цукр. Т-ва ім. Т. Г. Шевченка. Львів. Числового 26.

Відвітки про успішність, поведінку та відбудовання

П Р Е Д М Е Т	Ч В Е Р Т					Річна	Іспити	Всього
	I	II	III	IV				
Українська мова	доб.	доб.	доб.	доб.	доб.			
Українська література	доб.	доб.	доб.	доб.	доб.			
Російська мова								
Російська література								
Арифметика	доб.	доб.	доб.	доб.	доб.			
Алгебра	доб.	доб.	доб.	доб.	доб.			
Геометрія								
Тригонометрія								
Історія								
Класифікація СРСР і УРСР								
Географія								
Фізика								
Астрономія								
Хімія								
Технологія і мистецтво								
Музика	доб.	доб.	доб.	доб.	доб.			
Математика	доб.	доб.	доб.	доб.	доб.			
Фізкультура	доб.	доб.	доб.	доб.	доб.			
Поведінка	доб.	доб.	доб.	доб.	доб.			
Число пропусків уроків	7	7	7	7	7			
Відмінно								
Добре								
Посередньо								
Погано								
Дуже погано								
Підпис класного керівника <u>Метриченко до П. К.</u>								
Підписати до наступної чверті, підписати в кінці навчального року, заповнити заповненням до наступної чверті навчального року								
М. П. <u>Сенюга</u>								

Świadectwo szkolne z I klasy.

Rozpocząłem edukację w szkole niepełno - średniej nr 7 przy ul. Piłsudskiego, a tata szkolił się w języku rosyjskim. Codzienne raporty o wykonanych zadaniach były obowiązkowe.

Tu obowiązywała zasada: jak najdalej od świata. Radio zabrali i kto nie „robotajet tot nie kuszajet”. Wszyscy zdolni do pracy, zajęci byli przy porządkowaniu terenu po robotach budowlanych, oraz przy transporcie ciasta wapiennego dla tynkarzy.

Niedziele mieli wolne – rankiem załadowani na „gruzawiki”, z pieśnią na ustach (n. p. „katusza”), jechali na majówkę. Prace społeczne wykonywali rodzice i ja; babcia z siostrą zostawały w domu. Stąd ja znam te „majówki”.

W czerwcu 1940 roku rozpoczęły się wywózki całych rodzin na Sybir, jako tania siła robocza, a także jako oczyszczenie terenu dla przyszłych właścicieli tej ziemi.

Na stacji kolejowej działał z posługą duchowną i materialną ks. Władysław Bukowiński, proboszcz parafii św. Piotra i Pawła - Apostoła Kazachstanu.

Dwukrotnie z rodzicami służyłem pomocą represjonowanym osobom i dzieciom. Pomagałem im ubierać się, pakować prowiant, zabawki. Byli to moi rówieśnicy mieszkający w tym samym domu szeregowym. Operacja zaczynała się około godziny 2 w nocy.

Robili to pod osłoną ciemności, żeby nikt nie widział ani nie słyszał. Siedzieliśmy cicho jak mysz pod miotłą, oczekując co przyniesie jutro.

W związku z likwidacją stacji pomp, przeniesiono nas do budynku szeregowego o konstrukcji drewnianej, stojącego na ogrodzonej mini - działce o powierzchni około 70 m², przy ul. Pułaskiego (Niekrasowa róg Litniej).



W miejscu starego drewnianego domu obecnie stoi murowany blok. (4 maj 2008r.)

Najbardziej zamiana ta ucieszyła babcię i mamę, gdyż otrzymały poletko do uprawy warzyw. Sąsiadem był lekarz rosyjski. Tata zbudował kuchnię polową (cygańską) z zadaszeniem. Gotowanie i spożywanie odbywało się na powietrzu. Dla nas dzieci była to „radocha”.

Przyszła decyzja i tata dostał polecenie demontażu urządzeń stacji pomp i montażu ich na wschodzie w Rosji. Rozbiórka przebiegała sprawnie, natomiast brak ojca i jego opieki, sprawiał kłopoty, szczególnie nam; dwom kobietom i dwojce dzieci.

Kuzyni z Krasnego nie mogli nam pomóc, bo mojego kuzyna Ryszarda Łysakowskiego aresztowano i wywieziono w nieznanym kierunku. Po wojnie okazało się, że przeszedł szlak z generałem Andersem i dotarł do Wielkiej Brytanii.

Ojciec wrócił na wiosnę pod koniec marca 1941 r. Chmury znowu zbierały się nad nami, aż nastąpiła błyskawica i grom z jasnego nieba.

Zmiana okupanta

22 czerwca 1941 roku nastąpiło spięcie na linii hitlerowcy - bolszewicy (wspólnicy rozbiórów Polski).

O godz.4 rano obudził nas potężny huk. Zerwałem się z łóżka, klękam - mama woła: „Zbyszek to Niemcy”. Głos wesoły - za oknem słoneczny poranek: to niemieckie lotnictwo bombardowało obiekty strategiczne, między innymi lotnisko.

Rosjanka z przeciwka woła:

„Towariszcz doktor szto- eto?”

Odpowiada: „eto naszi – eto maniobry.”

Ładne „maniobry”. Jaszczyki na gruzawiki i ujeżdżają na wschód do domów.

A my, jak w 1939 r. w czwórkę uciekamy na wieś, tym razem w kierunku Teremnego.

Tu były tereny ogrodnicze (inspekta) - łatwiej było wyżyć.

Raz szliśmy między łanami zbóż ze względu na bezpieczeństwo. Nadleciał samolot a my w życie plackiem leżymy i czekamy co będzie dalej. Tym razem nie strzelał. Narobił nam ogromnego strachu, zobaczyłem tylko „hakenkroic” na skrzydle.

Znowu byliśmy sami. Tata za dobrze wykonaną pracę (montaż stacji pomp), otrzymał od Rosjan skierowanie do sanatorium.

Szybko doszło do wymiany okupantów. Doświadczeni tym, co działo się w 1939 r. wróciliśmy do domu, jak tylko było to możliwe. Ojciec jeszcze nie wrócił; machina wojenna parła na wschód. Czekaliśmy cierpliwie na powrót taty. Nasza egzystencja była uzależniona od zapasów własnych. Nieoceniony okazał się mini - ogródek warzywny.

Obok nas, po drugiej stronie ulicy, zamieszkali niemieccy żołnierze z jednostki zmechanizowanej. Oczekiwali na części do transportera.

Pewnego dnia z wizytą na nasz teren weszło dwóch wojaków. Tłumacza brak, taty nie było (zdażał dopiero w kierunku Łucka). Oni rechoczą, a my jak na tureckim kazaniu: tylko „ja ja”. (Wyszły jaja). Mama rozwiązała problem częstując ich plackami ziemniaczanymi. Wtedy było: „gut gut i gut!!!”. W rewanżu zabrali nas na swoją kwaterę, poczęstowali czekoladą, keksami. Oczywiście wyszły nam z orbit, gdy zobaczyliśmy ich broń. Widząc nasze zainteresowanie, pozwolili nam potrzymać i pobawić się pistoletami automatycznymi. Oczywiście zabezpieczając się, wyjęli magazynki - to była frajda.

Czasami zachodzili przynosząc prowiant: mięso lub drób z prośbą aby mama im coś upitrasiała. Pewnego dnia idąc do domu, zauważyłem przed ogrodzeniem naszego ogródka niemieckiego oficera w galowym mundurze (czapka wyprofilowana jak siodło), który jakby coś upuścił lub rzucił pod płot. Chciałem podejść i zobaczyć co to takiego. Niestety - wyciągnął pistolet z kabury i strzelił w górę na wiwat, a ja uciekłem gdzie pieprz rośnie. Gdy odszedł, podszedłem i zobaczyłem żółwia jak gramolił się do sałaty w ogródku - warzywniku.

Cała niemiecka machina wojenna parła na wschód.

Tata powrócił w pierwszej dekadzie lipca. Dzięki znajomości języka GOETHGO, wracając korzystał, jak nadarzyła się okazja, z transportu wojskowego. Musiał tłumaczyć się, skąd zna dialekt berliński. To zadecydowało, że został tłumaczem przy najważniejszym komisarzy na dystrykt wołyński. Czas pracy nieograniczony - 24 godz. do dyspozycji.

W związku z powyższym przeniesiono nas do budynku byłego Urzędu Ziemskiego. Tu mieściło się główne szefostwo niemieckie.



*Mama z koleżanką –
Urząd ziemski w tle*



Czesław z siostrą Aleksandrą

Czuliśmy się jak w pałacu: służba i lokaje w mundurach, wielkie pokoje, duże i wysokie okna, na podłodze piękny parkiet ułożony we wzory.

Co dobre, to szybko mija. W tym ekskluzywnym lokalu mieszkaliśmy do końca października 1941 roku.



Pozwolenie na prowadzenie samochodów ciężarowych

W związku porozumieniem niemiecko-ukraińskim, na tłumacza przyszła osoba pochodzenia ukraińskiego, a tatę przeniesiono do kolumn transportowych „holzgas-generator” nr. 234, jako tłumacza i kierowcę w jednej osobie. Zamieniono nam mieszkanie na mniejszy standard, przy ul. Słonecznej (obecnie Senatora). Mieliśmy trzy pokoje z kuchnią dość obszerne i dwie komórki – drewniane.

W drewnianym bliźniaku od ulicy zamieszkiwał Ukrainiec. W dalszej części nasza rodzina. Długo nie byliśmy razem. Znowu zostaliśmy bez głowy rodziny - ojciec wyjechał z kolumnami transportowymi na Ukrainę, celem przewożenia przeważnie artykułów spożywczych na stacje kolejowe po polskiej stronie i załadunek na wagony o rozstawie europejskim kół, którymi towar jechał dalej do Reichu.

Zwiedził Dniepropietrowsk, Zaporozże (wielka elektrownia, Kijów, Odessa i Krym. Wrócił po pół roku.

My w tym czasie żyliśmy z poborów taty, które docierały do nas bardzo nieregularnie. Uprawialiśmy poletko pana „Polaka”, ja hodowałem króliki angory i szaraki. Samicę tej rasy zabierałem do parku, gdzie wypasała koniczynkę na trawnikach, a ja bawiłem się z kolegami.

Z mamą robiliśmy wyprawy rowerowe na wioski w pobliżu miasta w celach handlu wymiennego – obwoźnego. Tylko taki wchodził w rachubę, a było tak: wchodzimy do chaty, a tu czarno od much, mówię „chazajka smatry”; wyciągam lep na muchy, a to paskudztwo na słodkiej powierzchni już siedzi. Mówię: jeden lep za trzy jajka. Dochodzi do transakcji; jeszcze kurka, serek masełko i do domu.

Rozpocząłem edukację w drugiej klasie z językiem niemieckim, a polskiego uczyła mnie abiturientka szkoły handlowej Maria Łysakowska, moja kuzynka.

Latem nasza grupka trzymała brzegu się Sapałajówki. Tu były ryby, nic wielkiego ale była zabawa. Dwóch z nas stawało po obu stronach w poprzek rzeki, z koszem w rękach. Ruszając nogami falowaliśmy wodę. Następna dwójka szła korytem rzeczki, bełtając wodę. W pewnym momencie podnosiliśmy kosz i liczyliśmy zyski. Były to przeważnie piskorze, płotki i miętusy. Oprawiało się i smażyło na ruszcie lub patyku. Były też zabawy w piłkę kopaną lub w dwa ognie, oraz zbieranie płodów jak morwy, kwiat lipy, płatki róż i owoce głogu. To zasługa babci, że zbieraliśmy i piliśmy ludowe herbaty.

Od 1941 r. jazdę na łyżwach uprawialiśmy na rozlewisku rzeczki pomiędzy Gwiazdźstą, Cmentarną a Jagiellońską. W parku miejskim uprawialiśmy narciarstwo zjazdowe i skoki. Na kolonii oficerskiej była skocznia, którą okoliczni mieszkańcy rozebrali na opał, ale pozostawili nam stok, jak na nasze możliwości - dość łagodny. Tylko na dole, w korycie rzeczki zamarzniętej i zasypanej śniegiem, narty zatapiały się w puchu i narciarz padał na twarz. Nauczeni doświadczeniem wcześniej skręcałiśmy w bok.

Pewnego pięknego poranka przybyła grupa niemieckich żołnierzy, uzbrojonych w karabiny i narty. Broń ustawili w kozły, oficer podał instrukcje i przyszli zwiadowcy gramolili się na stok. Ciężko to szło ale dotarli. Puszczali ich po dwóch, trzech. Pierwsza para

usiadła na stoku i tak dojechała na dół. Następna poszusowała na sam dół i zatrzymała się w korycie rzeczki; narty w górze głowa pod śniegiem. My na swoich nartkach, zakosami zjeżdżając, robiąc ewolucje Chrystiana lub Telimarka (balansowanie ciałem), kurzyliśmy na nich śniegiem. Oficer krzyczał: „wajta, wajta”. Jak „dawajta”, to my dalej szusowaliśmy między nimi, kiwali głowami wołając: „gut, gut”, a my robiliśmy swoje.

Niemcy zaczęli robić porządki po Rosjanach. Pod nadzorem przyprowadzili grupę mężczyzn do wynoszenia - wyrzucania przez okna wszystkiego, co było rosyjskie i palenia. Wiadomość lotem błyskawicy rozeszła się po okolicy. Któregoś ranka na Kolonii Urzędniczej zaterkotały koła wozów drabiniastych z Poleszukami, ubranymi w lniane portki i pięknie haftowane koszule, oraz w swoje obuwie z łyka. W połowie ulicy obecnie Litniej, po prawej stronie stała duża szopa – barak. Była tu zmagazynowana odzież zimowa dla wojska: spodnie i kufajki ocieplane wełną, ułożone na wielkich regałach. Pod dachem na kalenicy (był tam bal wieńczący dach), wisały szynele. Żal nam było starszych osób, więc z kolegą Heńkiem wskoczyliśmy na pierwszą półkę zgarniając wszystko na dół.

Następnie opróżniliśmy dwie półki; szynele także poleciały. Zostawiliśmy po dwa dla każdego. Na dole kłębowisko: każdy łapie jak najwięcej, ile tylko może zabrać oburącz. Naraz słyszymy wrzask szwabów: „doner weter” i strzał. Wszyscy rzucili się do wyjścia. Wierzeje były za wąskie, ale zdobył nikt nie popuścił. Postanowiliśmy zniknąć wykorzystując szynele jako spadochrony i dziurą wyszliśmy na zewnątrz aby obejrzeć to przedstawienie. Wojskowi stoją i rechoczą – śmieją się. Wychodzący muszą zostawić zdobycz pod wielką olchą i ”wek”. Kazali podejść gapiom i brać rzeczy. Nie zdawali sobie sprawy co ich czeka w najbliższej przyszłości.

Już jesienią, okupant w osobie żandarma i osoby towarzyszącej, chodzili po domach z listą zobowiązującą do darowizny na rzecz trzeciej rzeszy, w postaci ciepłych rzeczy jak: szale rękawice, papachy, swetry itp.

Przyszła zła zima. Wartownicy przy urzędach i jednostkach wojskowych stali na posterunkach w kozuchach. Na obuwiu mieli ocieplacze ze słomy łącznie ze spodami lub skórzane cholewki a spody drewniane. Ich buty z gwoździami przymarzały do podłoża.



Zbigniew – I komunia św.



Metryka urodzenia Zbigniewa Komorskiego

Afera prawie partyzancka

Miało to miejsce w 1942 r. Chodziliśmy na nauki do kościoła przed Pierwszą Komunią Świętą. Odbyła się ona 11 lipca 1942 r. Komunii udzielał ks. Władysław Bukowiński, błogosławiony sługa Boży, apostoł Kazachstanu.

Na ulicy Jagiellońskiej stały słupy ogłoszeniowe – okrągłe .betonowe. zadaszone z okienkiem i drzwiami. Na nich rozlepiano afisze, plakaty reklamowe.

Doszła do nas wiadomość, że mamy zgłosić się pod wskazany adres na okoliczność kradzieży sprzętu znajdującego się wewnątrz tych słupów. Po przybyciu z mamą pod wskazany adres, zastaliśmy prócz właściciela i jego córki, także żołnierza – Niemca. Od młodej damy dowiedziałem się o co mnie podejrzewają. Płacząc zaprzeczałem wszystkiemu. Długo trwało to przesłuchanie. Cały czas twierdziłem, że z tego pomieszczenia nic nie brałem i nikt z moich kolegów także nie.

Na pytanie dlaczego ojciec nie przyszedł ze mną odpowiedziałem: „mój tata pracuje w kolumnach transportowych Wehrmachtu - 234 jednostce, jako „dolmelcher” tłumacz a zarazem kierowcą i jest w terenie. To zakończyło sprawę. Po wyjściu powiedziałem mamie, że to chyba zrobili nasi akowcy.

Raz wybrałem się do miasta na ul. Szopena. z moją siostrą Basią (jak w piosence), po zakupy dla mamy. Ona w futerku z królików (mamy). Przechodzimy most, a na wprost nas idą żandarmi. Jeden przechodzi na naszą stronę i woła: „kom”!

Nie wiem co robić; krzyczę „das ist kinde”, i mówię głośno, gdzie mój ojciec pracuje. Pomogli nam koledzy żandarma wołając „Hans kom”!. Poszedł do nich, a my w nogi między chałupami i do domu.

Lata kaźni

Nadszedł rok 1943, rok kaźni. Ludność wiejska uciekała z wiosek przed reżymami Bandery do miast. Wiemy wszyscy, co się wtedy działo. Sąsiad sąsiada mordował, mąż żonę, żona męża, mordowano również dzieci.

Moi rodzice przyjęli rodzinę polską ze wsi: rodzice, dwie pary małżeńskie oraz dwójka dzieci: pięć lat i sześć-miesięczna dziewczynka. Do tego dochodził żywy inwentarz - dwie krowy.

Rodzice oddali im jeden pokój. Kuchnia była obszerna i służyła obu rodzinom do wspólnego użytku. Nas było troje dorosłych, plus ja i siostra oraz piętnasto-miesięczny braciszek Roman; a u nich czwórka dorosłych i dwójka dzieci. Całkiem spora gromadka.

Zajmowałem się wyprowadzaniem trzody na pastwisko – lotnisko, ostatnio używane jeszcze przez Rosjan. Trasa prowadziła przez ul. Kopernika, Szopena, Powstania Listopadowego koło cmentarza, przez koszarę 24 Pułku i jesteśmy na lotnisku.

Prowadzenie stada rozpoczynał najdalej mieszkający pastuch z jedną „mecką”. Po drodze stopniowo dołączała reszta stada. Było dużo uciekinierów, wiele zwierząt i pastuchów miejskich. Spora gromadka. W początkowym okresie każdy prowadził swoją podopieczną: ja miałem dwie. Z biegiem czasu poznały drogę i szły same za przewodnikiem. My doprowadzaliśmy i odbieraliśmy z głównego szlaku - ul. Szopena. Pastuszkowie zmieniali się każdego ranka i wieczorem. Stado liczyło ponad trzydzieści mlecznych krow.

Pewnego dnia poszedłem na skrzyżowanie Szopena z ul. Kopernika, a mojej krasuli brak. Nikt jej nie widział. Pobiegnę do domu - nie ma. Pobiegnę na pastwisko - nieopodal stał domek w stanie surowym - bez ościeżnic. Otwór wejściowy do samej ziemi ale zastawiony cegłami na około 60 cm. Wszedłem, a krówka spokojnie wcina trawkę. Zabrałem stworzenie do domu, nikomu nic nie mówiąc. Tylko pastuszkom przekazałem, że szkopy robią zasadzki.

Miało to miejsce po żniwach. Niektórzy wieśniacy po kryjomu wyruszali do swoich zagrod, aby zabrać trochę mienia i żywności do przeżycia. Tym razem się nie udało: całą rodzinę w bestialski sposób zamordowano, łącznie wyjętym z łona matki płodem. Sprofanowane zwłoki pięciu osób wystawiono w mieszkaniu przy ul. Kopernika, (przy Szopena) po prawej stronie ulicy. Bandyci UPA liczyli na to, że od hitlerowców otrzymają wolną Ukrainę.

Braki w zaopatrzeniu dotknęły także Niemców. Doszło do tego, że zaborcy musieli sami jechać na wioski po ziemniaki. Szef kolumn gdzie tata pracował ,otrzymał pozwolenie

na wyjazd do określonej wioski w której sołtys ukraiński wskaże pola polskich rolników, na których można wykopać płody rolne.

Przygotowano wielki samochód terenowy z napędem na cztery koła. Obsługa: kierowcy polscy. Załoga do zabezpieczenia akcji „Kartofel”, to pracownicy polscy i czescy oraz kobiety (kelnerki i kucharki). W dzień akcji po worki na ziemniaki przyjechał tata z Niemcem o nazwisku: Szwab. Uparłem się jechać z nimi. Tata mówi „nie” - ale Szwab mówi: „Zenek, niech jedzie” i pojechałem.

Naturalnie byłem pomocny. Załadowaliśmy amunicję do erkaemów których było cztery i do karabinów też. Niemcy mieli pistolety automatyczne.

Szwab prowadził samochód odkryty, bez drzwiczek, obok tata z karabinem. Ja z tyłu, jako maskotka. Za nami ciężarówka z personelem pomocniczym a dowódca w kabinie. Przyjechaliśmy pod wskazany adres, a tu na nas czekają; „czym chata bogata”. Stół zastawiony, aż ugina się pod żarciem. Usiedliśmy. Niemcy ślinę liżą, ale nikt nie bierze się do jedzenia, wreszcie sołtys pyta: dlaczego nie jecie? Tata mu odpowiedział, że dopóki wy nie zaczniecie jeść, oni stawy nie ruszą. Gdy gospodarze skosztowali - jadło zniknęło i gorzalka też.

Wyszliśmy w teren, gdzie pokazano nam pole działania. Okazało się, że będziemy w niecce - zagłębieniu, a dom w którym przyjęli nas - stał na wzniesieniu. Mieli nas jak na dłoni. Z drugiej strony też wzniesienie. Rozstawiono strażę w czterech kierunkach. Tata ze mną dostaliśmy zachodnią, Janek - młody człowiek, otrzymał ochronę strony południowej, w kierunku biesiadnej chaty, oraz dwa posterunki od wschodu i północy.

Posterunki rozstawione, kopacze do roboty. Na naszym stanowisku ojciec był kopaczem, a ja strażnikiem. Ojciec postawił RKM na kopcu zboża i mówi: jak będziesz widział coś podejrzanego dasz mi znać.

Ręce mnie swędziały żeby móc pociągnąć za spust. Ojciec kopał, tzn. wrywał łęty a z nimi kartofle. Nazbierał aż dwa worki. Pora na obiad. Pojechaliśmy do domu, wziąłem worki na jabłka i pojechaliśmy ponownie w pole.

Zajechaliśmy w to samo miejsce. Procedura powtórzona, posterunki rozstawione, motyki w garść i do dzieła. Ja, tata i Hans, pojechaliśmy po jabłka. Ja na drzewie trzęsę, oni na dole zbierają do worka.

Naraz: tra –ta –ta –ta, sygnał alarmowy. Hans wskakuje do samochodu, tata także, ja krzyczę jabłka – apfel! Szwab wrzucił worek do samochodu (widocznie miał dzieci) i mkniemy jak straż do wypadku. W oddali słychać kanonadę.

Dojeżdżamy, a tam walka na całego. Ogień skierowany na południe w okolice domku, w którym jedliśmy śniadanie. Hans i tata strzelając biegną, by zająć stanowisko.

Słychać: dawać amunicję do RKM-u!

Kierowca pilnuje dowódcy, który schował się za terenówkę. Dziewczyny biegną po magazynki z taśmami. Wskakują na platformę, a za mną dziewczyna.

Ukryci za wysokimi burtami, zrzucamy amunicję w blaszanych pojemnikach o wymiarach około 30 x 20 x 10. Trwało to około godziny i banderowcy wycofali się z prostej przyczyny: było blisko miasto i szosa na Kowel. Mogło to sprowokować przybycie wojska.

Byłem zadowolony; miałem jabłka i brałem udział w akcji. Od zawsze chciałem być żołnierzem, niestety uszkodzenie prawego oka uniemożliwiło bycie wojakiem. Zaliczony zostałem do ponad kontygentu, ale to późniejsza sprawa.

Wszyscy zadowoleni, że tak się skończyło, tylko dwie panny miały smutne miny; poparzyły rączki jak odbierały gorące RKM –y od obrońców, przy wsiadaniu na skrzynię samochodu.

Niemcy zrobili swoje; wysłali wojsko w celu ukarania winnych napaści na przedstawicieli Wehrmachtu. Nic nie wskórali. Banderowcy mieli pokopane tunele z kilkoma wyjściami dobrze zamaskowanymi. O tym przekonał się mój tata, gdy zajechał na wioskę naszych uciekinierów, terenowym samochodem z obstawą. Szwab Hans +1 i trzech pracowników kolonii, w tym tata oraz zięciowie właściciela p. Zajac i policjant przedwojenny, o nazwisko mi nie znanym.

Z gospodarstw niewiele pozostało, wszystko wyniesione – rozszabrowane. Poszli do następnej chaty, a tam siedzi starowinka na zydlu. Na pytanie: gdzie „hospodar”, odpowiada „nyma pane”. Zobaczyli kłapę w podłodze – pewnie piwnica. Ktoś chciał wejść, ale starszka –ukrainka woła: „pane ne, pane ne, bum, bum !”. Zostawili tę zagrodę, pojechali dalej szukać polskich gospodarstw.

Wszystko poniszczono. Bydło ryczy, świnie kwiczą, konie buszują po łąkach, drób w zbożu. Co mogli - zabrali do miasta, do podziału dla uciekinierów. Co dzień było gorzej: na domach pokazywały się czerwone plamy - co to oznaczało - okazało się później. To były znaki do napaści. Tata czekał na okazję, żeby wywieść nas do centralnej Polski.

Wszyscy barykadowali okna i drzwi od środka, a także kominy. Moi kuzyni z Rogowej też przysposobili się do obrony. Było tam tylko dwóch mężczyzn i dziadek Hieronim. Cztery kobiety i babcia Frania, oraz trzy dziewczynki: wnuczka Maria Krystyna córka Mieczysława, córka Hanny Dąbkowskiej –Jolanta Majzel i Barbara Dąbkowska córka Czesława.



Maria Krystyna Dąbkowska – ur. 1938



Jolanta Majzel – ur. 1940



Barbara Dąbkowska – ur. 1943

Chciałbym wyjaśnić skąd słowo „gruzawik” . Otóż było tak:

„Gruzawik priwioz drawa eto dwa.(...)”

I sprasiła Nina ticha razwie płocha być partnichoj?

Kto rebiatom trusy szjotnu kanieczno nie piłot.

Patamu, patamu, szto my piłoty,

pierwym diełom, pierwym diełom, samalioty,

nu a dziewczoczki a dziewczoczki patom.”

Wypędzenie

To mi pozostało w pamięci do dnia dzisiejszego. Nadszedł dzień naszego wyjazdu: babcia Ludwika ja i sunia jamniczka.

W pierwszej turze, 18 listopada 1943 roku, wyjechaliśmy do Garwolina pod Warszawę. Ojciec prowadził samochody z silnikami „holzgas” do naprawy – regeneracji, do miejscowości Królowa - Wola pod Tomaszowem Mazowieckim.

W Garwolinie byliśmy około godz. 19:00-tej. Babcia, po opuszczeniu samochodu, ruszyła biegiem szybko do domu. Nie sposób było ją zatrzymać; znalazła ziomka i poszła.

Niedługo przyleciał goniec z wiadomością, że starszą panią potrafił samochód.

Zmarła w szpitalu tego samego dnia, o godz. 23,00. Pogrzeb odbył się następnego dnia. Zostałem jak kołek wbity w ziemię „Sygów”.

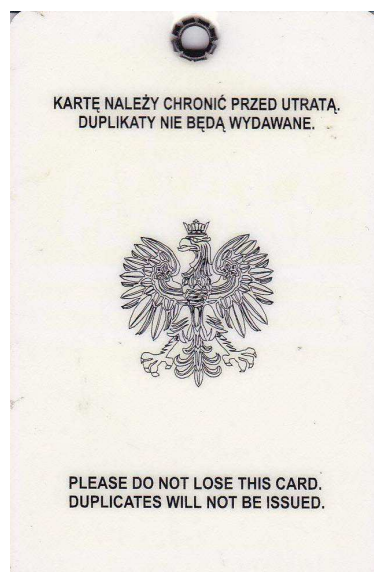


Pogrzeb Babci Ludwiki Syga z domu Pruszyńska

Do przyjazdu mamy z rodzeństwem, czułem się jak sierota. W związku z pracą taty jeszcze długo jeździliśmy po kraju jak cyganie, zanim osiedliliśmy się na stałe.

Zakończenie

Pierwszy raz odwiedziłem rodzinne strony 24 czerwca 2005 roku w uroczystość otwarcia cmentarza Orląt Lwowskich.



Karta wstępu na otwarcie cmentarza Orląt Lwowskich

Następnie jeździłem na Wołyń w 2007 roku, oraz w latach 2008 i 2009. Jestem rodowitym Wołyniakiem, a tu czuję się przesiadłym.

Opisałem swoje koleje losu tak, jak przeżywało to dziecko. Szybko wydorostałem. Nostalgia nie opuszcza mnie...

Na zielonej Ukrainie,
Gdzie Hiszpański żyje lud.
Tam gdzie rzeka Ganges płynie,
Gdzie Japończyk spija miód.

Gdy Sobieski był sułtanem,
Starty Bismark z konia spadł.
Nakarmiono osła sianem,
A on wieloryba zjadł.

Kilimój, kilimój asa,
Umfajki, umfajka szuru muru,
Mikadara, harakiri banza.

Kilimój, kilimój asa,
Umfajki, umfajka szuru muru,
Mikadara, harakiri banza.



Na tle zamku Lubarta:

1 - Basia córka Jadwigi i Czesława Dąbkowskich, 2 - nad nią jej Rodzice, 3 - wyżej podczepiony do młodej damy – chrześniak Zbyszek, 4 - z lewej strony córka Jolanta i mąż Hanny Majzel.

Tym akcentem kończę moje wspomnienia dziecinno – dorosłe na Wołyniu.

Lipiec 2012 r.

Zbigniew Komorski